

Bolesław Prus

MILKNAĆCE GŁOSY

Wróciwszy cało z piątej kampanii w życiu, pułkownik w końcu roku 1871 wziął dymisję i osiadł w Lyonie. Liczył sobie dopiero sześćdziesiąt pięć lat i wyglądał tak czerstwo, że przyjaciele namawiali go, aby się ożenił. Ale pułkownik nie chciał się żenić. Mówił, że wprawdzie ma jeszcze mocne nogi, lecz że go już znudziła adwokacka Francja, więc myśli wrócić do swoich. Z babą zaś miałby w drodze dużo kłopotu.

Chciał jechać natychmiast; zaczął nawet szukać kupca na swój domek z ogródkiem. Tymczasem przybyło do Lyonu trzech rodaków i kolegów pułkownika z najpierwszej kampanii. Starzy odnaleźli się łatwo, jeszcze łatwiej odnowili znajomość i odtąd chodzili sobie we czterech. Chcąc pijać razem czarną kawę w polskiej kawiarence, musieli razem jadać obiad w jednej restauracji. Potem każdy mógł iść, gdzie go oczy poniosą, byle wieczorem stanął na czas do wista. Ponieważ jednak trafiały się spóźnienia, więc dla porządku pilnowali się wzajemnie i - cały dzień chodzili razem, czasami po dwóch, czasem gęsiego, a zwykle rzędem.

Głównym zajęciem ich była rozmowa o dawnych kampaniach i o polityce bieżącej.

W

ciągu roku starzy odkryli wszystkie błędy Kossutha, Mac-Mahona, Bazaine'a i dawniejszych wodzów. W roku zaś następnym poukładali tak szczęśliwie plany wojen, że gdyby je wykonano, świat wyglądałby całkiem inaczej niż obecnie.

W trzecim roku jeden z nich umarł. Opłakali go jak brata, lecz w miesiąc po pogrzebie zdecydowali, że w polityce nieboszczyka

tkwił wielki błąd: bo Bismarck, choć Niemiec, jest jednak genialnym człowiekiem, i nie wiadomo, na co się jeszcze może przydać.

W czwartym roku umarł im drugi kamrat całkiem niespodzianie. Pułkownik aż położył się do łóżka ze zmartwienia i od tej pory z pozostałym kolegą nie grywał w wista, tylko w mariasza. Starzy mniej teraz rozmawiali ze sobą, ale za to

czytywali więcej gazet. Rozejrzawszy się zaś i skombinowawszy to, co pisały dzienniki angielskie, z tym, co niekiedy bywało w niemieckich, doszli do wniosku, że Bismarck wcale nie jest taki zły, jak się wydaje, lecz musi być ostrożny...

- W polityce, kochany kapitanie - mówił pułkownik - najpierwszą cnotą jest ostrożność. To rzecz daremna!...

- Zawsze byłem tego zdania, kochany pułkowniku - odparł kapitan. - I nawet, jeżeli sobie przypominasz, często broniłem Bismarcka...

- No, częściej mówiłeś, że to gałgan.

- Ja, pułkowniku?... To nieboszczyk Kudelski, a głównie Domejko, Panie, świeć ich duszy... Potem dodał:

- Prawda, że dobrzy z nich oficerowie, ale - do polityki żaden nie miał głowy... choć obaj są już na boskim sądzie.

Nareszcie - pewnej zimy umarł i kapitan.

Pułkownik na razie nie okazał żalu; zajął się pogrzebem i sprawił taki, jaki należał się oficerowi dwóch armij. Nie uronił ani jednej łzy, ale gdy nad grobem rozległy się salwy piechoty żegnającej kolegę, starzec nagle zachwiał się i padł, jak gdyby wszystkie strzały skierowano w jego piersi.

Ledwie go otrzeźwili. Przez kilka minut odpoczywał, potem bez niczyjej pomocy wsiadł do fiakra i kazał się odwieźć do domu.

Na drugi dzień w miejscowych dziennikach ukazało się ogłoszenie o sprzedaży domu pułkownika. Kupiec znalazł się prędko, a w tydzień później starzec gotował się do pożegnania gościnnej Francji na zawsze.

- Nie żal ci też, pułkowniku, opuszczać nas? - spytał go rejent, u którego robiono akt sprzedaży.

- Żal i nie żal - odparł starzec. - Żal, boście szlachetny naród i warto za was krew przelewać. A nie żal - bo się u was dużo zmieniło... Gadacie tylko o handlu, pieniądzech, kuchni, zabawach... Wrócę ja lepiej do moich śniegów... Tam są inni ludzie, moi ludzie. Oni rozumieją mnie, ja ich. A tu, u was, jest mi już strasznie pusto...

Rejent pokiwał głową, ale widząc gorączkę starca nie wdawał się w perswazje. Zrozumiał on, że człowieka czasami porywa burza tęsknoty i niesie go jak liść, który gdyby umiał myśleć, może by i myślał, że wraca na swoje dawne drzewo i że znowu do niego przy rośnie.

Pułkownik udał się do Paryża, ułożył się o wypłacanie mu emerytury, przedstawił w ambasadzie swoje dokumenta i uzyskał paszport. Spotkał wielu przyjaciół, którzy namawiali go, ażeby odpoczął choć do lata. Ale na próżno. Starca, od chwili gdy powiedział sobie, iż wraca do kraju, ogarnął taki niepokój, że po prostu - nie mógł sobie znaleźć miejsca.

W rozmowie był nieuważny, w towarzystwie cierpki. Gdy dla rozerwania się wziął jakiś dziennik, zdawało mu się, że jest drukowany po polsku. Wszędzie na coś czekał, jakby lada chwilę miał ukazać się ktoś jeszcze nie znany, ale - od dawna wyglądany. Na bulwarach, ponad tysiącem świateł i gwarnym mrowiskiem ludzi, widywał ciche równiny śniegiem pokryte, na horyzoncie czarne lasy, gdzieniegdzie małe domy ze słomianymi dachami albo stare krzyże przy drogach.

Miał jakby dwie dusze. Jedną wywiózł z kraju, druga wyrosła w nim na obczyźnie i samowładnie rządziła przez lat czterdzieści kilka. Lecz nagle obudził się ów młody duch z całym zasobem wspomnień i pragnień. Było mu źle w Lyonie, źle w Paryżu, źle w teatrze, źle w pociągu. W dzień przeszkadzał myśleć, a w nocy zdawało się pułkownikowi, że ktoś rzuca nim po łóżku, wygania go z pokoju, że w nim szłocha i krzyczy rozdzierającym głosem:

- Odwieź mnie tam, do moich!...

Starzec opuścił Paryż, z wieloma osobami nie pożegnawszy się nawet, i dniem i nocą jechał do kraju. Wyprostowana figura i charakterystyczne ruchy zwróciły uwagę Niemców, którzy przypatrując się śniadej, suchej twarzy, jego podciętym białym wąsom i białej muszce na brodzie odgadywali, że to musi być jakiś generał, a bodaj czy nie marszałek francuski.

- Pewnie jedzie z misją do Petersburga!... - szeptali Niemcy. A że starzec wciąż wyglądał oknem, domyślali się, że bada niemieckie koleje, i - wróżyli wojnę na obu frontach.

Do granicy pociąg przyjechał nad ranem. Formalności paszportowe zabrały kilka godzin czasu. Jedni pasażerowie jedli, inni drzemali. Pułkownik nie mógł ani jeść, ani spać; wyszedł na spacer za stacją.

Szedł wzdłuż toru drogi żelaznej, może wiorstę, a może i dalej. Zaczęło świtać. Na wschodzie ukazał się jasny pasek, który stopniowo wzrastał, aż całe niebo przybrało barwę zielonego szkła, poplamionego szarymi, białymi i bladoróżowymi obłokami.

Po dusznej atmosferze bufetu chłodny wiatr orzeźwił starca, ale - nie uspokoił go. Pułkownikowi zdawało się, że gdy raz stanie na otwartym polu, na swoim polu, w jego piersi nie wytrzyma tęsknota, wyrwie się i gdzieś odleci, jak gołąb wypuszczony z klatki. Lecz stało się inaczej: zamiast ukojenia uczuł zdziwienie. Horyzont, niegdyś taki szeroki, wydał mu się ciasnym. Lasów nie widać, tylko tu i owdzie sterczą dymiące kominy fabryk. Nie widać ani chat, ani ogrodów przy nich, tylko posępne, ceglane domy na śnieżnych wydmach. Nawet wiatr, zamiast szumieć między gałązkami wierzby, tłukł się o nieskończenie długi szereg słupów albo w telegraficznych dzwonkach płakał jak zabłąkana sierota.

To już nie ta ziemia, którą przed pół wiekiem opuścił!...

Na dworcu zadzwoniono. Pułkownik ledwie zdążył zająć miejsce w wagonie - i pociąg ruszył.

Przez całą drogę starzec rozglądał się chcąc choć nie jakąś nitkę nawiązać między rzeczywistością i wspomnieniami. Daremna praca! Inny kraj leży na dnie duszy, inny przed oczyma. Chłopi bez sukman. Żydzi bez lisich czapek, domy bez drzew, ziemia bez lasów. Nie był nawet pewny, czy ptaki nie straciły głosu.

Do Warszawy przyjechał już późno wieczór i umieścił się w drugorzędym hotelu, który z pozoru przypominał dawne "zajazdy". Lecz i tu spotkało go rozczarowanie. Zamiast prostych sprzętów, obitych włosieniem albo skórą, jakie bywały za jego czasów, zastał modne meble, obrazy kobiet z półświatka, popsute elektryczne dzwonki i służbę w poplamionych frakach. Nie był to już stary "zajazd", ale zagraniczny hotelik w złym gatunku.

Przespawszy noc jako tako, pułkownik od rana wyszedł na miasto. Wziął dorożkę i

kazał obwozić się po wszystkich znanych niegdyś ulicach. Niepojęte zmiany...

Znikły wysokie, w białe i czerwone pasy malowane słupy latarniowe, znikły dworki i rozległe ogrody, a miejsce ich zajęły szeregi ogromnych kamienic, zbudowanych po większej części bez ładu i smaku. Nawet tam, gdzie za jego czasów polowano na dzikie kaczkę, stało dziś miasto duże, ruchliwe, ale - jakieś inne...

Ludzi zupełnie nie poznawał, ani z ubiorów, ani z fizjognomij. Co dziwniejsza, chwilami raziło go to, że nie słyszy gwaru francuskich rozmów, do których przez pół wieku nawykło ucho!

Po tej przejażdżce uczuł pustkę jeszcze większą niż we Francji i postanowił wejść w towarzystwo ludzi.

Miał tu znajomych między różnymi osobami, które spotykał w Paryżu albo u wód. Zanotował kilka nazwisk i poprosił hotelowego szwajcara o wyszukanie adresów. Na drugi dzień przyniesiono mu tylko jeden adres człowieka dość majątnego, z którym przed dziesięcioma laty poznał się w Vichy.

Pułkownik natychmiast udał się do niego i szczęściem zastał w domu.

Gospodarz na razie nie poznał go, a poznawszy zmieszał się. Gorączkowo ściskając gościa, troskliwie począł go wypytywać, czy nie miał kłopotów z paszportem? - a gdy uspokoił się co do tej kwestii, zapytał, jak też długo myśli bawić w Warszawie?

- Chciałbym tu osiedlić się, o ile, naturalnie, uda mi się zawiązać stosunki - odparł pułkownik.

- O!... stosunki u nas zawiązują się łatwo. Znajdzie tu pan może nawet i swego kolegę...

- Któż to?... - przerwał mu prędko starzec.

- Jest to także były oficer francuski. Biedaczysko!... przyjechał bez grosza i ledwo znalazł jakąś lichą posadę... Dziś nie może odżałować, że opuścił Francję. Och!... u nas bardzo trudno o zajęcie... tysiące młodzieży szuka go na próżno...

- No, ja tego nie potrzebuję - odparł gość śmiejąc się pierwszy raz od paru miesięcy. - Mam trochę gotówki i emeryturę pułkownika.

Uśmiech tak widać ozdobił marsowatą twarz starca, że gospodarz, poprzednio dość

chłodny, nagle wpadł w entuzjazm. Porwał gościa w objęcia, kilkanaście razy nazwał go pułkownikiem, przypomniał mu mnóstwo przyjemnych chwil spędzonych razem w Vichy, przedstawił mu całą swoją rodzinę i zaklinał na wszystkie świętości, ażeby raczył uważać ten dom jak własny i ażeby jutro wieczorem zaszczyił go swoją wizytą.

- Będzie u nas parę osób - mówił zachwycony gospodarz - które z przyjemnością złożą hołd bohaterowi...

- Emerytowi!... - poprawił go pułkownik.

Pomimo tak szczególnego przyjęcia pułkownik przyszedł na wieczór. W przedpokoju przyjął go sam gospodarz, ledwie nie zdjął mu kaloszy i z wielkim szumem wprowadził do salonu.

Był to wieczór tańczący, więc starzec znalazł od razu kilkadziesiąt osób.

Porobił prędko znajomości z damami, z których jedna zapewniała go, że pamięta kampanią włoską, choć mogła znać na palcach węgierską - druga dziwiła się, że opuścił "ten piękny Paryż", a najmłodsza zapytała nieśmiało: czy pan pułkownik nie tańczy już nawet kadryla?...

Ponieważ przeszło siedemdziesięcioletni weteran już nie tańczył, więc gdy odezwała się muzyka, pomimo całego szacunku -zapomniała o nim. Żołnierz spod Solferino i Gravelotte musiał ustąpić bohaterom walca i kontredansa, tak samo jak we Francji.

Wyszedł do dalszych salonów; tam grano w karty. Gościnnie gospodarz ofiarował się w tej chwili zebrać mu towarzystwo do wista z dwu radców i jednego prezesa; ale starzec podziękował, może przez pamięć dla swoich ostatnich kolegów od wista.

Więc i tu przestano się nim zajmować, z czego pułkownik był kontem mogąc przypatrzeć się ludziom.

Przysłuchiwał się rozmowom. W jednym kącie mówiono o karnawale, w drugim o giełdowych kursach, w trzecim o płci pięknej, w czwartym o polityce, a mianowicie o tym, że nas Niemcy nieodwołalnie zjedzą.

Do tej grupy przyłączył się pułkownik, ale rozmawiał niedługo. Przechodząc od kwestii do kwestii, usłyszał w końcu, że realna polityka powinna traktować wojnę

jak interes przemysłowy i że tylko taki szarlatan jak Napoleon III mógł wojować za cudze sprawy, dla idei.

Toż samo niejednokrotnie słyszał we Francji - po cóż więc ją opuścił?...

Starzec cichaczem wymknął się z balu i wrócił do swego zajazdu. Położywszy się do łóżka począł marzyć, trochę we śnie, trochę na jawie. Gdy znużony tracił chwilami świadomość, zdawało mu się, że przestał być człowiekiem, lecz że jest krzyżem na zapadającym się grobie, w którym spoczęli jego dawni kamracy. Gdy zaś ocknął się, szeptał:

- Po com ja tu wróciłem?...

I uczuł tęsknotę za Francją.

Na drugi dzień przypadła niedziela. Starzec wstał późno i ubierał się powoli, namyślając się, kiedy wracać do Francji: dziś czy jutro?... Tu był już obcym dla wszystkich i wszyscy dla niego.

Miał numer na dole. Gdy około dziesiątej podniósł roletę, spostrzegł, że przed jego oknem chodzi tam i na powrót jakiś ubogi odziany człowiek z małym chłopcem.

Był silny mróz, więc ubogi człowiek dla rozgrzania się tupał nogami w chodnik, uderzał się w ramiona albo rozcierał zsiniałe z zimna ręce dziecka, które miało nieco przydługiego surduta, słomiany kapelusz, nie obtarty nos i uszy podwiązane brudną chustką.

Ponieważ chodzący po podwórzu często spoglądał w okno pułkownika, starzec zwrócił na niego uwagę i spytał kelnera: co za jeden jest ten człowiek?

Kelner uśmiechnął się i odparł:

- To szewc!... Mieszka tu u nas pod strychem i chce swojemu chłopcu pokazać pana pułkownika...

- Mnie pokazać?... A skądże on wie, kto ja jestem?...

- Dowiedział się od służby...

Starzec zamyślił się, a tymczasem ubogi człowiek wciąż dreptał za jego oknem albo rozcierał zmarznięte rączyny dziecku.

Pułkownik miał iść na śniadanie do miasta. Ubrał się więc spieszej i

zaciekawiony wyszedł na podwórze.

Na jego widok człowiek z dzieckiem stanął jak wryty. Wykręcił czapkę na bakier, zmarszczył brwi, wyprężył się i zacisnął pięści, co wyglądało tak, jak gdyby chciał rzucić się na pułkownika, ale według jego pojęć znaczyło oddanie honorów. Ponieważ jego syn chuchał sobie przez ten czas w ręce, więc dla rozbudzenia uwagi uderzył chłopca pięścią w kark, a sam wciąż patrzył na starca jak na wilka, myśląc, że postępuje według najściślejszych reguł wojskowej etykiety. Starzec - zatrzymał się. Chciał coś przemówić do ubogo ubranego człowieka, ale brakło mu wyrazów, a przy tym - było na podwórzu trochę ludzi. Więc tylko spojrzeli sobie w oczy i pułkownik z wolna poszedł w stronę ulicy.

Wtedy szewc odezwał się do dziecka:

- Wojtuś!...

- Abo co?

- Będziesz, hyclu, taki?...

- Co nie mam być, oj! jej!... - odparło dziecko z zawałanym nosem.

- Pamiętaj, żebyś był, bobym ci zęby powybijał, choć urośniesz!...

Tymczasem pułkownik poszedł na śniadanie, ale jadł niewiele, bo śpieszył się.

Potem wybiegł do miasta i wkrótce - wynajął sobie prywatne mieszkanie.

Brzydkie kamienice i nowi ludzie już go -nie razili. A gdy wypadkiem mijał ulicę Karową i z niej spojrzął na Wisłę, zobaczył znowu taki rozległy horyzont jak niegdyś, takie same lasy i uczuł ten orzeźwiający powiew, którego mu brakowało przez pół wieku.

"Zostanę tu!" - pomyślał.